Nr. 17. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 22 Kwietnia 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

a) Stanowisko autora do filozofji w ogólności i jego filozofja atomu.

Autor, z powołania lekarz, doktor medycyny uniwersytetu paryzkiego i członek byłéj rady lekarskiéj w Królestwie Polskiém, wydał w roku 1869 w Warszawie „Zarys filozofji natury“ (stronnic 236); a gdy dzieło to nie zwróciło należnéj mu uwagi znawców, wydał w końcu tego samego roku, pod napisowym tytułem drugie jego wydanie znacznie powiększone (stronnic 461). Na krytyki recenzentów warszawskich sam odpowiedział na wstępie drugiego wydania. U nas w Wielkopolsce, najwięcéj dla braku poważniejszego naukowego pisma, żadna, ile mi wiadomo, krytyka się nie pojawiła, a i samo dzieło mało jest rozpowszechnione, tak, że zdaje się na czasie zwrócić na nie uwagę, ile, że rzecz zdradza i naukowo ukształconego pisarza, i wśród ogólnéj posuchy prac filozoficznych, zająć może uwagę czytelnika.

Poświęciwszy całe życie z zamiłowaniem naukom lekarskim, wykształcony nadto na pismach i badaniach fizyologów i przyrodników francuzkich, jak: Flourens'a, St. Hilair'a, Cuvier'go, Milne Edward'sa, autor na nauce i na obserwacji oparł swoje filozoficzne poglądy na naturę i pojął jako ich zadanie „uchwycić tajemnicę związku i jedności we wszystkiém, uchwycić prawo wspólne całemu stworzeniu.“ — Czém jesteśmy, czém jest świat cały? oto wielkie i fundamentalne pytania na które dać powinna odpowiedź filozofja natury.

Jak na nie odpowiedział p. Levittoux, obaczymy w dalszym rozwoju jego pisma. Tu tylko nadmieniamy, że dlań wspólném prawem i podstawą całego stworzenia jest zasada: przyciąganie w odpychaniu. Rzecz dziwna, że téj zasadzie żadnego osobnego rozdziału, ni ku dowodowi, ni ku wywodowi nie poświęcił, acz ją wszędzie powtarza i stosuje, tak że ona jest i fundamentem i wynikiem jego badań.

Zasada sama, chociaż na nią wielki przycisk autor zdaje się pokładać, jakby na odkrycie jemu tylko właściwe formuły, wszystkie tajemnice świata stworzonego rozwięzującéj, — nie powiem, aby była zła, ale nową nie jest. Przyciąganie i odpychanie, czyli attrakcja i repulsja, od dawna istnieją jako dwie pierwotne siły przyrody, w tém rozumieniu, że ani jedna, ani druga z osobna istnieć nie może — albowiem pierwsza światby w jeden punkt ścisnęła, drugaby go w nieskończoność rozwiała. Obie istnieją więc tylko w połączeniu rozmaitego stopnia przewagi jednéj nad drugą i w każdém ciele fizyczném, jak w całéj naturze istnieje tylko i działa: przyciąganie w odpychaniu, albo co jedno, odpychanie w przyciąganiu. Téj chyba dopatrzylibyśmy się różnicy, że autor nie pojmuje dwóch osobnych sił w połączeniu działających, ale tylko jedną siłę z dwoma własnościami, odpychania i przyciągania.

Zasada zatém naszego filozofa, jest tylko dokładniejszém omówieniem dwóch sił pierwotnych nieustannie działających i świat wytwarzających. A powiem więcéj, że w téj formie jest oznaczeniem ściślejszém samego stwarzającego działania, bo nie siły, jako takie, ale ich wspólna, nieustająca czynność, woli i prawom Boga Stworzyciela posłuszna, jest owo primum movens wszystkiego stworzenia, jest owym ruchem kształto i życio-dawczym.

Całe dzieło rozpada się, rzekłbym na część teoretyczną obejmującą filozofję atomu i filozofję siły; i na część zastosowaną do badań nad stworzeniem ziemi, człowieka, słońca i wszechświata — ku czemu dodane są objaśnienia wedle téj teorji niektóre ważne i ciekawe momenta, jak o stosunku Boga do natury, o nieśmiertelności duszy, o przewrotach ziemi i jéj przyszłości, o wyłonieniu Ameryki. Zaś rozdziały o przyczynach rozwoju i upadku cywilizacji rodu ludzkiego, o teorji Darwina i kilku innych starożytnych filozofów, — są już tylko lóźne dodatki, objaśniające, ale nie rozwijające filozofji natury.

O systemie w ogóle nie ma tu mowy. Filozofia natury, jak filozofja religji, dziejów, sztuk pięknych, prawa i t. p. jest tylko jednym działem zastosowania zasad filozofji czystéj, odnalezienia w naturze, w rozwojach życia społecznego, tych samych momentów czy logicznych, czy metofizycznych, na których zbudowaną była logika, czy metofizyka. Autorowi o taki całokształt filozoficzny całkiem niechodziło. Jest on nieprzyjacielem wszelkiéj abstrakcji nie opartéj na naukach przyrodniczych i społecznych. „Filozofja bez nauki jest marzeniem, jest duszą bez ciała“ (str. 47) — „oto i cała filozofja przeszłości, bujająca w abstrakcji bezpowrotnie zabita“ (str. 46).

Pierwsze z tych dwóch zdań, jest najświętszą prawdą ale zobaczmy, jak autor tę prawdę rozumie. On chce naukę i filozofją mieć w nierozerwanéj całości; „filozofja ma być nauki konkluzją“ (st. 47) „nauki ścisłe w suchych formułach i ograniczone na zbiorze faktów, nie są naukami, lecz materjałami naukowemi.“ Gdzie się więc kończy obserwacja; gdzie chodzi o zdanie sobie sprawy z rozlicznych objawów siły; gdzie wyprowadzać trzeba wnioski, odsłaniające rozległe prawa natury i wiodące do ogólnych pojęć żywota, do zmian, a mimo to do jedności w téj rozliczności nieskończonéj, — tam zaczyna się filozofja analityczna i syntetyczna. Dla autora ma zatem znaczenie tylko filozofja nad nauką, a nie filozofja nad sobą samą. To ostatnie jest abstrakcją, „jest filozofją przeszłości, bezpowrotnie zabitą.“

Zaprawdę filozofja Platona nie wywoła już, w naszych i przyszłych czasach perypatetyków, ani Spinoza nie wkrzesi Spinozystów, ani Hegel nie wzbudzi Hegelistów, ale nie dla tego, że ich filozofje „bujały w abstrakcji“ — bo ani realiści, jak Aristoteles, Bakko Werulowski, Loerke nie wskrzeszą napowrót szkół swoich. Upadły one, dla tego, że przeszły, że ustąpić musiały znaczenia nowym systemom, nowym szkołom. Wszakże historja filozofji poucza, jako w nierozerwanym łańcuchu systematycznego rozwoju badającéj myśli ludzkiéj nad początkiem i celem wszechrzeczy, każdy z filozoficznych systemów przeszłości, swoje właściwe zajmuje miejsce.

Z filozofją czystą i zastosowaną ma się jak z matematyką i jéj zastosowaniem do mechanicznych, optycznych i astronomicznych wiadomości. Interesowniejszą jest matematyka w zastosowaniu, wszakże nierównie świetnym jest rozwój matematyki czystéj, któréj praw słuchają pojawy fizycznego i społecznego świata. Czem w matematyce oderwanéj są twierdzenia, wnioski, prawdy oczywiste i formuły na nich oparte, do których stosują się prawidła ruchu, sił i rzeczywistych zjawisk, tem są w filozofji, jéj logiczne momenta z równą koniecznością pojawiające się w rozwoju fizycznego i społecznego świata. Nie tylko więc „psychologja na każdym kroku w nauce jak w zwierciedle prawdę swych poglądów, swych wywodów swéj logiki kontrolować powinna“ (str. 47) — ale i nauka anatomiczna i fizjologiczna oglądać się wciąż musi na logiczne następstwo myśli, sądów i wniosków, czego znowu filozofja naucza, a nauka sama z siebie, z myśli oderwanéj od rzeczywistości, z abstrakcji.

Naznaczywszy tym sposobem realne stanowisko autora do filozofji w ogólności, — że dlań filozofja abstrakcyjna jest marzeniem, a filozofja rzeczywista jest rozumowaniem nad nauką i doprowadzeniem jéj do ogólnych pojęć istnienia i przeznaczenia wszech rzeczy, — zrozumiemy łatwiéj jego filozofją atomu i filozofją sił.

Przyzwyczajonym do pojęć niemieckiéj filozofji niezwykłą jest sama nazwa filozofji atomu. Lecz jeżeli przez filozofją nie będziemy rozumieli systemu, tylko rozumowanie nad przedmiotem, nazwa ta znajdzie swoje usprawiedliwienie. Tak Anglicy mają swoją filozofją fizyki, ciepła, elektryczności, a barometry, termometry są dla nich instrumentami filozoficznemi.

Autor rozpoczyna swoją filozofję natury od fizykalnego pojęcia ciała, stanowiącego każdą część ograniczoną i nieprzenikliwą przestrzeni. Wszakże nie powiada nam co jest przestrzeń i bierze snać to wyobrażenie, jako każdemu umysłowi przyrodzone i jasne. Przechodzi następnie na podzielność mechaniczną każdego ciała i na jego ściśliwość; wnosi ztąd o istniejącéj w niem sile przyciągającéj i sile odpychającéj, a od stosunku jednéj siły do drugiéj zależnemi czyni, najrozmaitsze każdego ciała własności. Ten sam różny stosunek sił widzi na olbrzymią skalę w systemacie niebieskim, tak słonecznym jak wszechświata. Ciała stałe, płynne, lotne są tylko różnemi stopniami przewagi atrakcji nad repulsją.

Przechodząc z fizyki do chemji, która uczy rozkładać ciało na jego pierwiastki, uważa ją, jako opartą na téj saméj zasadzie podzielności ciał, tylko posuniętéj do nieskończonych tychże pierwiastków odrobin. Tą drogą przychodzi, do pocięcia atomu. Jest to ostateczna cząstka materji niepodzielna, którą przez intuicję naukową pojmujemy tylko w chwili związków i rozkładów ciał; która za obrębem tego chemicznego działania jako ciało nie istnieje, a więc ani widzialna ani dotykalna; która po za tym obrębem jest siłą. Dopiero atom tak pojęty, z drugim atomem połączony, tworzy pierwszą cząsteczkę ciała, którą uczeni zwykli atomem materjalnym nazywać (str. 68).

Atom p. Levittoux jest zatem coś idealnego, stojącego na granicy materji i siły, jest ideą w świecie materji, jest materją w dziedzinie siły (str. 69). Atom jest zarodkiem bytu natury, jest słowem nie powiem wcielonem, jak autor chce, boby to był już atom materjalny, ale słowem wcielającem się.

Wszystko stworzenie odbywa się przez łączenie się atomów ze sobą. Woda n. p. składa się z dwóch części wodorodu a jednéj części kwasorodu. Każdy więc atom materyalny wody składa się z dwóch atomów wodorodu i jednego atomu kwasorodu. atom nie ma żadnych własności materjalnych. Związek dopiero dwóch lub więcéj atomów, jest materją w sile poczętą, jest siłą złożoną w materji, która się objawia w siłach prostych, organicznych, zwierzęcych i w siłach ducha.

Co do ciał niezłożonych których chemia 65 dotąd odkryła, tłomaczy je autor tem, że siła pierwotna

w swojéj dodatności do ujemności (czyli przyciągania w odpychaniu) w tyluż stosunkach wyrazić się mogła. Domyśla się jednak nie bez słuszności, że te pierwiastki martwe dadzą się z czasem sprowadzić na jeden ostateczny pierwiastek wszystkim ciałom wspólny; ile że czternaście pierwiastków wystarczą do wytłomaczenia tylu różnorodnych ciał organicznych.

Nie można téj teorji atomu odmówić genialności pod względem przejścia siły do materji, potęgi twórczéj do tworzenia, myśli do ciała. Wszakże dwie ważne tu widzimy pominięte okoliczności. Ciało każde stworzone nie tylko jest materją ale i formą. Ukształtowanie się ciał ma swoje pewne prawidła i granice. Autor nie objaśnił nas nigdzie, jak z połączenia atomów rozwija się pewna typowa forma ciał. Następnie pojąć łatwo, że dwa atomy wodorodu i jeden atom kwasorodu tworzą jeden materjalny atom wody. Można sobie daléj wystawić, choć to już tylko jest przypuszczeniem, że tak wodoród jak kwasoród, powstaje każdy z jednéj pory atomów, w dwóch różnych stosunkach siły przyciągania w odpychaniu; — ale cała ta operacja, czyli kreacja zostaje nie wyjaśnioną; ażali się wciąż wśród świata stworzonego odbywa — coby wskazywało na nieustające tworzenie się świata — czy téż odbyła się na początku wieków, kiedy świat, jaki jest, wyszedł cały i zupełny z łona twórczéj wszechmocności, i raz stworzony, nigdy się już nie odtwarza, ale tylko w tworach swoich przemienia. W późniejszych dopiero działach, autor się do téj ostatniéj teorji skłania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

— To i coż, panie... to i ja co dzień rano chodzę wszędzie w negliżu... niby to co złego negliż?... To tylko między dorosłemi pannami i kawalerami nie wolno się tak pokazywać, ale dzieciom wolno i przy dzieciach także wolno.

Na ten argument nie było co odpowiedzieć. Pilski zamilkł.

— Kiedyż państwa ślub? — zagadnęła Kazia po chwili.

— Czy mój z panną Izą?...

— Tak, panie.

— Powiedz mi, moja Kaziu, kto ci powiedział, że ja się żenię z panną Izą?...

— A któżby?... wszyscy.

— Czy i doktór?...

— Doktór, bo nie...

— A cóż ci o mnie mówił doktór?...

— Doktór mówił, że pan... że pan... — Kazia zająknęła się w tém miejscu, — ja nie wiem proszę pana czy ja panu mogę to powiedzieć.

— Powiadasz przecież, że dzieciom wszystko wolno.

— Ha! kiedy pan pozwala, to powiem... doktór mówi, że pan to jesteś egzemplarz.

Pilski podskoczył.

— Co?... co?...

— Że pan egzemplarz... — powtórzyła patrząc mu w oczy dziewczyna, — albo to co złego być egzemplarzem?...

— Ależ chyba mówił, że ja zbieram rzadkie egzemplarze starożytności.. żem archeolog...

— Nie, to panny Rękalskie mówią, że pan archeolog; doktór mówił wyraźnie że pan nie zbiera egzemplarzy, lecz sam jest egzemplarzem.

— Doktór w spisku, — pomyślał Pilski, — kuracja jest tylko komedją... zmyślił sobie teorję o chorobach na charakter, dla tego tylko, żeby dopomagać pannie Izie... ale zobaczycie! zobaczycie!...

Pogłaskał Kazię pod brodę i rzekł:

— To dobrze, moje dziecko, żeś mi o tém powiedziała... Możesz mnie odwiedzać czasami, będę miał nawet dla ciebie cukierki... ale mi opowiadaj wszystko co o mnie mówią.

— A widzi pan, — zawołała Kazia, klaszcząc w ręce, — ja wiedziałam, że tak się skończy. W naszym domu to zawsze każdy nowy lokator z początku mnie unika, a potém zaprasza i pieści... bo bezemnie tutaj nikt się obejść nie może, inaczéj byłby jak w rogu... Ja wiem, że tak samo będzie i z tą panią, co to mało nie zemdlała jak jéj powiedziałam, że pan się żeni z panną Izą.

Pilski oczy wytrzeszczył.

— Otóż nowa historja!... — rzekł do siebie, — jak widzę Babia wyspa jest niewyczerpaną... Czyje życie zbyt monotonne, niech się tutaj sprowadzi, a ręczę że mu je urozmaicą.

— Ja się nawet oddawna miałam pana spytać, — szczebiotała daléj Kazia, — dlaczego ta pani mdlała jak się dowiedziała o tém?... Czy pan ją porzucił dla panny Izy?... ona taka dobra! taka ładna!...

Bohater nasz wzruszył ramionami.

— Któż to taki, ta pani? — rzekł po chwili.

— To nowa lokatorka... pan ją przecież zna.

— Nie słyszałem o niéj, nie widziałem jéj nigdy... nie wiem czy to panna czy wdowa...

— Wdowa... na imię jéj Jadwiga...

— Nie znam nawet żadnéj wdowy Jadwigi.

— Nie może być, pan chyba żartuje ze mnie...

— Ależ jak cię kocham, Kaziu.

— To dziwne!... ona pana zna doskonale... ale poczekaj pan, kiedy pan jéj nie widział, to niechże pan siądzie w oknie... ja ją panu zaraz pokażę.

To powiedziawszy Kazia zerwała się i wybiegła. Pilski chciał ją zatrzymać, ale niepodobna było myśleć o dogonieniu żywego jak iskra dziewczęcia.

Nowy rozdział intrygi, któréj był bohaterem, niezmiernie zaciekawił Pilskiego. Obok panny Izy stawała nagle, niby z pod ziemi wyrosła, piękna, młoda wdówka — rywalka. Jedna spadła mu z nieba, drugą także chyba jakieś duchy przyjazne musiały mu zsyłać z za obłoków. Stawało się to wszystko czémś niby powieścią z Tysiąca nocy, pełną ciekawszych jedna nad drugą i jedna od drugiéj nieprawdopodobniejszych niespodzianek.

Nie byłby chyba potomkiem matki Ewy, gdy nie pośpieszył do okna, w którém miał ujrzeć istotę mdlejącą na wiadomość, że się żeni z inną.

Stanął tedy w oknie, rozsunął firanki i patrzył chwilę.

Kazia tymczasem pobiegła do Jadwigi, i nie czekając żadnego pretekstu zawołała:

— Pani, pani, niech pani wyjdzie do ogródka... prędko, zaraz, natychmiast...

Jadwiga instynktownie rzuciła robotę i zerwała się z krzesełka, pytając:

— Ależ po co, Kaziu?...

— Dowie się pani zaraz... ale prędko... tylko prędko.

To mówiąc Kazia porwała ją za rękę i pociągnęła za sobą.

Nie wiedząca zupełnie o co idzie, myśląc że jaki zdarzył się przypadek, Jadwiga dała sobą powodować niedelikatnemu niby-dziecku.

W taki sposób siostrzenica panny Petroneli przyprowadziła ją do ogródka tak blisko okna Pilskiego, że ledwo pięć lub sześć kroków oddzielało ją od niego.

— O cóż to szło, Kaziu?... — zapytała Jadwiga niedomyślając się niczego, i nie wiedząc najmniejszéj rozsądnéj przyczyny takiego nagłego wyjścia.

Kazia rozśmiała się i rzekła:

— Chciałam się przekonać co też pan Egzemplarz zrobi, jak panią zobaczy...

Wskazała paluszkiem w okno Pilskiego i chychocząc się odbiegła.

Mimowolnie oczy Jadwigi pobiegły za wskazującym palcem Kazi i spotkały się ze wzrokiem naszego bohatera. Nagłe wzruszenie ją przejęło i nogi zachwiały się pod nią. Spuściła wzrok i odeszła powoli, niepewnym krokiem do siebie, potém upadła na kanapkę i zakrywszy twarz chusteczką, westchnęła:

— Niedobre dziecko!

Kazia była już u Pilskiego, który ujrzenie pięknéj lokatorki także zdziwieniem niemałem, a nawet wzruszeniem powitał.

— Ona tu!... pod jednym ze mną dachem!... a! co za niespodziane spotkanie...

Te słowa wydarły mu się z piersi, nim jeszcze niby-dziecko usłyszéć je mogło. Widząc, że siostrzenica cioci Petroneli powraca do niego, zdołał jak umiał zapanować nad zdziwieniem i wzruszeniem, nie chcąc się zdradzać przed małą bajczarką Babiéj wyspy.

— No cóż?... zna pan tę panią?... zawołała wbiegając Kazia.

— Nie znam jéj wcale, — odpowiedział sucho i stanowczo.

— Nie zna pan!... a to osobliwe!... a ona i teraz mało nie zemdlała jak pana zobaczyła powtórnie... Niech pan nie żartuje... niech się pan przyzna... ja nic nie powiem pannie Izie.

— Możesz mówić pannie Izie co chcesz... ja nie znam téj pani wcale, — powtórzył Pilski.

Kazia zmierzyła ku drzwiom.

— Gdzie idziesz, Kaziu? — zatrzymał ją już u drzwi nasz bohater.

— Idę do panny Izy, powiedzieć, że pan téj pani wcale nie zna.

— Dobrze... ale wprzód mnie opowiedz parę rzeczy.

— I owszem... cóż pan chce wiedzieć?...

— Powiedz mi najprzód jak się ta pani nazywa i odkąd tu mieszka?

— Nazywa się Jadwiga Łucka...

— Łucka... to dobrze.

— Wprowadziła się tego samego dnia co pan, na małą godzinkę przed panem.

— Dobrze... Teraz powiedz mi, czy to nie ona rozgłosiła po domu, że ja się żenię z panną Izą.

— Ależ nie... powiedziałam panu, że jak się o tém dowiedziała odemnie, to zemdlała...

— Dobrze... czy doktór bywa u téj pani?...

— Nie bywa... nie zna jéj jeszcze... Spotkał ją dzisiaj rano w bramie i nie ukłonił jéj się nawet... Widziałam to na własne oczy.

— Dobrze... możesz już odejść, Kaziu...

— Czy do panny Izy?...

— Gdzie ci się tylko podoba, moje dziecko, — zakończył rozmowę Pilski tonem dosyć wyraźnie złośliwym i sarkastycznym.

Zostawszy sam, zadumał się.

— Osobliwy zbieg okoliczności, — mówił do siebie w duchu, — ona tutaj!... jeżeli o mnie krąży tyle niedorzeczności w téj stolicy plotek i bajek, do jakiéj się dostałem, cóż to o niéj mówić muszą!... Ba! cóż mi do tego?... nie znam jéj!...

Toczył widocznie jakąś wewnętrzną walkę, na twarzy jego znać było wzburzenie, zdawało się jakby tłumił jakieś uczucie i gwałtem nie pozwalał mu się odezwać.

— Uciec ztąd... byłoby nie po męzku, — myślał, — los tak chciał... pozostać jest najlepszym obojętności dowodem... niech wie, że nawet z bliska nie jest dla mnie niebezpieczną.. Nie będę wcale myślał o niéj.

Było to widać postanowienie, do którego zmusić się pragnął, ale przychodziło mu to z trudnością. Chodził wielkiemi krokami, zaczynał wygwizdywać rozmaite piosenki, ale w środku każdéj przerywał sobie i powtarzał:

— Ona tu!...

Po półgodzinnéj może walce, zdołał dopiero nieco zapanować nad sobą. Wysiłkiem woli zwrócił myśl w inną stronę, chociaż upornie do zakazanego przedmiotu powracała.

— Precz z tym dramatem niepotrzebnym, od którego myślałem, że już wolnym będę w życiu, rzekł do siebie, — wolę tę płaską farsę, w któréj mam rolę znakomitego archeologa, chorującego na charakter i ślepo zakochanego w staréj dziewiątce... chciałem powiedzieć w pannie Izie... Wolę głupie bajki Babiéj wyspy, niż gorżką prawdę mego złamanego życia. Los mnie chce zmusić, żebym płakał, ja się bawić będę na złość losowi!... Mieszka tutaj jakaś pani Jadwiga Łucka, którą znałem kiedyś... co mi do tego, nie znam jéj dzisiaj... Ta komedja... doprawdy zajmuje mnie ta komedja... jestem w niéj teraz znowu jak w rogu.., Z indagacji Kazi zdaje się tylko tyle wynikać, że każde mistyfikuje mnie na swoją rękę... Nie wynalazłem najmniejszéj wskazówki, żeby panna Iza i doktór mieli jakiś jeden, wspólny, umówiony plan. być może, że nie wiedzą o sobie, że każde z nich ma cel inny, a przynajmniéj tego jednego jestem pewny, że nie znają mojéj przeszłości. Tém lepiéj!.. O niéj nawet myśleć nie będę... będę się bawił.

Musiało mu się zdawać, że w samotności tego postanowienia spełnić nie potrafi, bo zaczął myśleć jakby się rozerwać. Iść na wino lub do kawiarni nie miał ochoty, w teatrze nie było widowiska, w rozrywki innego rodzaju Kraków nie obfity, wybór więc był dosyć trudny, a chciał koniecznie zająć myśl czém innem, zapomnieć o doznaném wrażeniu.

Bił się z myślami dosyć długo, nareszcie przypomniał sobie, że winien wizytę doktorowi.

— Doskonale... pójdę do Tuckich.. — rzekł do siebie, — tam przynajmniéj nie będę samotny... mąż.. żona... sześcioro dzieci... A może téż uda mi się pochwycić coś mogącego posłużyć do rozjaśnienia wątku téj blagi o charakterze, którą mi szanowny Eskulap chciał zaimponować.

Zaczął się ubierać. Z początku czynił to z jakimś gorączkowym pospiechem. Już miał włożyć nieodstępne akcesorjum pierwszych odwiedzin — frak, gdy ruchy jego, zwalniające się ciągle, ustały zupełnie i pozostał tak na środku pokoju z frakiem w ręku, nieruchomy, zadumany.

W téj postawie przetrwał przez długą chwilę. Myśl jego była widocznie daleko za Babią wyspą, w przeszłości może niedawnéj, ale przeminionéj bezpowrotnie.

Oczywiście nie wiedział o tém, że dumał, dopiero po niejakimś czasie ocknął się ze swego marzenia.

Stał przed zwierciadłem i zobaczył się w niém.

— A! — rzekł półgłosem, — wszakże ja się przebieram... miałem gdzieś wyjść... gdzie?...

Wzruszenie jakiego doznawał odebrało mu pamięć o tém co postanowił przed chwilą.

— Do Tuckich, prawda!.. — przypomniał sobie, — ale nie... teraz niepodobna. mimowolnie jestem wzruszony... zdradziłbym się, dałbym powód do niewiedzieć jakich domysłów... Ona tu... trzeba o tém przedewszystkiém zapomnieć... mówiłem sobie, że się będę bawił, muszę wprzód poznać ludzi, z których sobie zrobię zabawkę.

Powiesił frak w szafie, która mieściła jego garderobę, wyjął tużurek, który mu służył zwykle, włożył go, wziął kapelusz i wyszedł przejść się na planty.

Przechadzka była mu potrzebną dla ochłonięcia z wzruszenia, jakiém go przejęła wiadomość, że Jadwiga jest blisko niego, że mieszka z nim pod jednym dachem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do polskiego syna.

Polski mój synu! rzuć te błyskotki,
Tych cacek marne połyski!
Ty skroni nie strój w kwiaty, stokrotki,
W matczyne nie chódź uściski!

Ty zostaw czułe, słodkie pieszczoty
Dzieciom szczęśliwszéj macierzy!
Tyś dzieckiem Polki — synu mój złoty
Na twém ramieniu czyn leży!

Ty od młodości hartuj twe życie,
Wśród pracy — trudów pędź chwile! —
O przyszłéj chwale — dumaj me dziécię,
I o tych, co śpią w mogile!

Hełm twardy — synu — kładź na twe skronie,
Szablę przypinaj do boku! —
W łańcuchów pęta okręcaj dłonie —
Płomienie obudź w twém oku!

* * *

A gdy podrośniesz, pójdziesz bez trwogi,
Z bólem oswojon z chłopieństwa:
Niby grom z niebios spadniesz na wrogi,
Zapału pełen i męztwa.

Wtedy nie zlękniesz się błysku zbroi,
W środek uderzysz żołdaków...
Bo liczyć wrogów — gdy wróg tuż stoi,
Nie jest zwyczajem Polaków...

* * *

A gdy z strzaskaną szablą w prawicy,
Zmoże cię siła złowroga:
Pomnij, że nawet u szubienicy,
Jeszcześ postrachem na wroga!

Ostrów 1871. **S. M. W.**

Kronika tygodniowa.

— Zaczynamy od tego na czem pragnęlibyśmy raz wreszcie skończyć. Zaczynamy od wstrętnéj dla nas polemiki, która i na umysłach czytelników równe zapewne uczyniła wrażenie. Nie nadużywalibyśmy ich cierpliwości—a szczerze mówiąc i własnéj, gdyby rzecz nie szła o krzywdę literacką, krzywdę na którą prawodawstwo nasze nie nałożyło dotąd kary, a w któréj, jedynie głos publiczności musi być sędzią i wyrokiem. Zresztą, jak słusznie zauważa p. Dobrzański, zacząwszy trzeba dokończyć. Oto i list który od niego odebraliśmy:

„Panie Redaktorze!

Pozwoliłeś w piśmie Twojem poruszyć sprawę „Żaków" pozwólże ją i zakończyć.

Z wywodów p. Hofmana możnaby wnosić, że ja zostawiłem mu tylko librę czystego papieru i niezacięty ołówek a reszty dokonał p. Anczyc... Rzecz się ma inaczéj. Zostawiłem gotowe libretto, p. Anczyc zaś tylko o tyle przyłożył do niego rękę, że przerobił śpiewy i podzielił na dwa akta; proza pozostała nietknięta.

Pytam się każdego bezstronnego, czy pod tymi warunkami, może p. Anczyc nazwać się autorem Żaków? Treść, przebieg intrygi, liczba osób, ich nazwiska, pozostały w pierwotnym układzie; czy mogę stracić prawa autorskie, iż dzisiej libretto przepisane jest na czysto, — a p. Anczyc podpisał się na niem?.....

Zresztą p. Anczyc ma dziwny sposów postępowania: na mojéj pracy podpisuje siebie na swojéj pana Hoffmana... Czemuż się kryje po za nazwiskiem kompozytora?

Nareszcie daję jedną dobrą radę: drugi to plagjacik, który popełnia p. Anczyc. Pierwszego dokonał na p. Aurelim Urbańskim. Jeżeli jeszcze daléj będzie pracować w tym kierunku, znajdą się ludzie, którzy przestaną wierzyć, iż p. Anczyc jest autorem „Łobzowian" i „Chłopów arystokratów"...

Na tem kończę polemikę, która więcéj zajmuje miejsca niżeli przedmiot jéj na to zasługuje.

Z szacunkiem,
Stanisław Dobrzański.

Poznań 10 Kwietnia 1871."

Z naszéj strony, nie myślimy bynajmiéj w sprawie téj wydawać sądu, — niechaj opinja publiczna rozstrzyga... Dla lepszego jednakże sprawy obiaśnienia, gotowi jesteśmy zamieścić jeszcze odpowiedź p. Anczyca, przyobiecując łaskawym czytelnikom, iż odpowiedź ta, jeśli nadejdzie, będzie ostatnim już dokumentem.

* * *

Od przykréj do miłéj przechodzimy rzeczy.

Zasłużony i znany z licznych prac swoich humorysta i powieściopisarz p. Wład. Sabowski (Wołody Skiba) przybył przed kilku dniami w odwiedziny do naszego miasta. Cieszymy się niepłonną nadzieją, że ruch umysłowy jaki w Poznaniu od niejakiego czasu obiawiać się zaczyna, nakłoni ulubionego autora do dłuższego w śród nas pobytu. Powieści p. Sabowskiego, odznaczają się przedewszystkiem duchem spostrzegwszym; są to obrazy i obrazki zdjęte z galicyjskiego przeważnie społeczeństwa, pełne prawdy, humoru i karcącego dowcipu. Nie potrzebujemy się rozwodzić nad korzyścią jaka wynikła by dla Wielkopolski, gdyby głęboki ten psycholog i naszemu społeczeństwu w obrazkach swoich przejrzyć się się dozwolił... starajmyż się zatrzymać go jak najdłużéj,

jeżeli można na zawsze wśród naszego grona, gdyby nie z innych już względów to dla własnéj korzyści!

Ostatnią powieścią tego autora jaka w tych dniach ukazała się z druku jest powieść p. tyt. „Kręte drogi“; — utwor ten wszakże nie kończy szeregu licznych prac p. Sabowskiego, owszem, dowiadujemy się, że w tece jego nie jeden spoczywa manuskrypt; — miejmy nadzieję, że poznańscy nakładcy, długo niepozwolą im ukrywać się w cieniu.

* * *

Występy gościnne p. Józefa Rychtera, zakończyły szereg przedstawień sceny polskiéj w Poznaniu. W chwili kiedy kronika ta dojdzie rąk czytelników, ujrzymy teatr nasz na mozolnéj ale pełnéj błogich owoców, wędrówce. Życząc mu jak najlepszego powodzenia, i obfitych plonów, polecamy go patryotyzmowi i obywatelskiemu sercu szlachetnych rodaków.

* * *

Dowódzca armji wogezów, bohater z pod Dijon'u, ś. p. Jenerał Bosak-Hauke, którego biografia wyjdzie w krótce z pod pióra p. Sabowskiego, nakładem wydawnictwa czytelni ludowéj w Krakowie, uzyskał wiernego odtworzyciela swych rysów, w osobie p. J. Łapacińskiego z Bazylei, który, wykonał portret jego w wielkim formacie. Portret ten, odznacza się starannem i artystycznem wykończeniem, a co najważniejsza bardzo umiarkowaną ceną. Jeśli nie wyż przytoczone zalety, ta ostatnia uczyni go bezwątpienia, pożądanym w każdym polskim domu.

* * *

Obszernego sprawozdania z fundacji pomnika i muzeum historycznego w Rapperswylu, wykazującego ogólną przewyżką w rozchodach w ilości 120,317 franków 69 centymów, nie możemy zamieścić w naszem piśmie dla braku miejsca. — Wyjmujemy z niego to tylko, że Wł. hr. Plater upoważnił p. Alfreda Młockiego we Lwowie do przyjmowania darów i subskrypcji na fundację pomnika i muzeum w Rapperswylu. Kwestja téj fundacji podjętą być powinna przez nasze pisma, czuwające nad dobrem publicznem. Do koryfeuszów naszych należy, rozstrzygnąć ostatecznie, czy fundacja ta połączona jest z pożytkiem narodu, czy też jest tylko zbyt drogą na nasze położenie i w obec innych ciężarów zabawką. Nie spotkawszy się dotąd z wyrokiem opinji publicznéj, czytamy tylko długie sprawozdania z dotychczasowych czynności Wł. hr. Platera. — „Mrówka“ przecież w jednym z ostatnich numerów swojego pisma, zastanawia się nad tą kwestją i twierdzi bardzo trafnie, że w dzisiejszych czasach barbarzyństwa, stare pamiątki narodowe ani w strzesze rodzinnéj, ani w publicznych zakładach nie są zasłonięte przed zbrodniczą ręką najazdu... —

* * *

Mamy do zapisania i polecenia publiczności naszéj mnóstwo dzieł, które albo już ukazały się na widok publiczny, — albo zapowiedziane przez prospekta, wkrótce zabłysną na półkach księgarskich. Do tych ostatnich należy tom trzeci psychologicznych pytań XIXgo wieku p. t.: „O wolności woli“ na który ogłosił prenumeratę w ilości 17 $1/2$ sgr. młody a bystry psycholog p. Julјan Ochorowicz. Do tych należy także „Podręczna Encyklopedja Powszechna“ w jednym, wielkim tomie z atlasem, zapowiedziana przez niezmordowanego pracownika na polu literackiem i redaktora pana Adama Wiślickiego. Cena dzieła tego, zaledwie 5 tal. wynosząca, w stósunku do jego treści i objętości (1,300 str. druku), jest bardzo umiarkowana. — Przed nami godne polecenia leżą: „Za posagiem“ powieść pani Wilkońskiéj, „Korabiowie“ Jaskółki i „Wianek nabożeństwa dla dzieci polskich“ bardzo ozdobnie i nader starannie wydany w Lipsku u E. Ł. Kasprowicza. Czy to już wszystko?... Prawie... bo gdybyśmy nie chcieli psuć niespodzianki, donieślibyśmy jeszcze pięknym czytelniczkom, że p. Władysław Bełza uzyskał przyzwolenie autora na swój przekład z czeskiego „Wieczornych pieśni“ który w przepysznćm illustrowanem wydaniu, ukaże się wkrótce na światło dzienne, opatrzony firmą zasłużonéj księgarni J. K. Żupańskiego. Tymczasem, od chwili do chwili, starać się będziemy podawać czytelnikom wyjątki z téj cudnej „Księgi pieśni“ słowiańskiéj.

* * *

Na wstępie objawiliśmy nasz wstręt do polemiki, niespodziewając się, że sami polemiką będziem zmuszeni zakończyć niniejszą kronikę; gdy oto listonosz oddał nam ósmy zeszyt „Przeglądu Lwowskiego.“ W korespondencji z Poznania, jakiś Dr. S... w niczém nieuzasadnionéj napaści na pisma perjodyczne nasze, na teatr, a w szczególności na „Tygodnik Wielkopolski“ — zarzuca temu ostatniemu, że jest zbiorem mniéj-więcéj fałszów i zgubnego radykalizmu (sic), daléj, napada na osobistości w skład redakcji wchodzące, słowem bluzga na wszystko i na wszystkich jadem... Do podobnych obryzgiwań już nas „Tygodnik Katolicki“ przyzwyczaił nieco... Kamień i błoto były i zostaną ewangieliczną jego bronią. Smutno nam tylko widzieć, że nowo powstające „katolickie“ przedewszystkiém pismo, jak „Przegląd Lwowski“, podobnéj broni się chwyta, niegodnéj ręki która ją nosi, — niegodnéj odparcia tych, na których uderza. Dixi. **B.**

Przegląd teatralny.

Radziwiłł gościem. — Skąpiec. — Występy p. Józefa Rychtera.

Ostatnie przed wyjazdem do Gniezna przedstawienia teatru naszego nader żywo zainteresowały publiczność Poznania i okolic. Były to pożegnalne występy goszczącego na naszéj scenie znakomitego artysty, a sztuki przedstawiane niemałe także obudzały zajęcie. Jednego wieczora mieliśmy nowość, płód niespracowanego pióra i wiecznie twórczéj muzy J. I. Kraszewskiego, na drugi wieczór p. Rychter wybrał na swéj benefis utwór, który już oklaskiwało kilka pokoleń, ale który krytyka zapisała do szeregu wiecznie młodych arcydzieł i który dla naszego miasta specjalnie był zupełną nowością.

Tak obfity materjał dostarczyłby nam dosyć wątku do rozleglejszego studjum, związani jednak warunkami miejsca i czasu w krótkości tylko spisać tu możemy nasze wrażenia i uwagi.

Nowy utwór p. J. I. Kraszewskiego należy do najlepiéj udanych w szeregu jego prac dramatycznych. Wiadomo, że znakomity ten autor jest głównie powieściopisarzem, a dorywczo tylko dramaturgiem i mieszkając zwykle daleko od głównych ognisk naszéj sztuki dramatycznéj, bardzo rzadko miewa sposobność widywania prac swoich na scenie. Otóż zawód autora dramatycznego, trudniejszy od wielu zawodów, bardziéj może niż którykolwiek inny wymaga wyłącznego oddania mu się. Najgenjalniejsi dramaturgowie wszystkich literatur życie swoje wyłącznie poświęcili scenie. Z drugiéj strony główną szkołą dla dramaturgu jest scena, warunkiem niemal nieodzownym postępu i powodzenia jest częste widywanie przedstawień swoich utworów, sposobność do sprawdzenia czy efekta jakie pragnęło wywołać pióro przelewające myśl na papier, wywołane zostały rzeczywiście i oddziałały na widzów. Nie zosta-

jąc w żadnym z tych dwóch warunków, traktując dramaturgję dorywczo tylko, p. Kraszewski nie może w dramatach i komedjach swoich dać nam rzeczy pod względem scenicznym tak doskonałych i skończonych, jak są najlepsze jego powieści ale owszem każdy z jego utworów dramatycznych musi nosić na sobie pewną powieścią cechę. To nam tłómaczy i usprawiedliwia usterki, jakie w jego utworach dramatycznych wykryć może surowa i bezwzględna krytyka, w każdym razie jednak najsurowszy sędzia przyznać musi, że nawet w tak wyjątkowych warunkach, w jakich się znajduje p. Kraszewski, obdarza on nas rzeczami, którym coraz mniéj zarzucać można niesceniczności i powieściowości, które coraz bardziéj czynią zadość wymaganiom jakie do dzieł scenicznych przywiązywać przywykliśmy.

Anegdota dramatyczna p. tyt. Radziwiłł gościem jest najlepszem poparciem tego cośmy powiedzieli. Rozpoczywa się wprawdzie monologiem, bardzo zręcznie napisanym ale też bardzo długim, co za błąd pod względem scenicznym koniecznie uważać trzeba, ale w dalszym ciągu już chyba z drobnowidzem szukaćbyśmy musieli zarzutów, jakie jeszcze pod wzgędem techniki scenicznéj dałyby się jéj uczynić.

Co do charakterów sztuka posiada dwie znakomicie nakreślone, godne Kraszewskiego postacie, i to jéj trwałą wartość stanowi. Kniaź Hrehor Korjatowicz Kurcewicz, chorąży lidzki, jest znakomicie nakreślonym, odznaczającym się najwyższą prawdą typem z naszéj przeszłości. Nie jest to ambitny szlachetka, który na zasadzie ducha i litery ustaw rzeczypospolitéj chce na pół-wiosce siedząc zabawić, się w równego wojewodzie, lecz człowiek który na serjo wierzy, iż drzewo genealogiczne ze szlachetnego pnia wyrosłe przed wieki, dawać mu powinno prawo do wyższości nad ludźmi mniéj odwiecznego rodu, choćby tych ludzi majątek i zajmowane w hierarchji społecznéj stanowisko, o całą nieskończoność wyżéj nad nim postawiły. Ta głęboka wiara i szczerość, ta nieustraszona i nieugięta odwaga z jaką Kurcewicz broni swego stanowiska, odróżnia go od szlachcica-zawiadjaki, innego również prawdziwego typu naszych antenatów, i czyni postacią w najwyższym stopniu sympatyczną.

Treścią sztuki jest walka dumy chorążego lidzkiego, z dumą radziwiłłowską, obok Kurcewicza występuje tu zatem książe Panie kochanku, postać którą pierwszy Kraszewski wprowadził na scenę naszą. W gruncie poczciwy i najlepszego serca, ale dziwak, fantastyk, lubujący się w rozpowiadaniu niestworzonych rzeczy, niezdolny do żadnéj poważniejszéj myśli, gotów źle nawet zrobić dla konceptu, aby je potem hojnym datkiem z książącego skarbca nagrodzić, ale brzydzący się podłością i brudem, Karol Radziwiłł p. Kraszewskiego jest takim jakim go nam przekazała historyczna tradycja.

Postać Kurcewicza znalazła w p. Rychterze tak doskonałego przedstawiciela iż niepojmujemy prawie, żeby ta rola mogła być odegraną inaczéj bez skrzywienia jéj i popsucia. Jeżeli prawda jest, co należy wnioskować z dzienników, że Radziwiłł gościem nie miał we Lwowie takiego powodzenia jak w Poznaniu, przypisać to trzeba jedynie temu, że postać kniazia Hrehora musiała tam być mniéj dobrze pojętą i przedstawioną. Nic łatwiejszego jak ją zrobić śmieszną i płaską, tryumfem artysty jeżeli ją uczyni taką jak pragnął autor, pociągającą i sympatyczną nawet dla tych, którzy jako synowie innego pokolenia, w innych wychowani zasadach, kniaziowskich pojęć Kurcewicza podzielać i pochwalać nie mogą.

Obok takiego Kurcewicza jakiego nam przedstawił p. Rychter być Radziwiłłem, nie dać się zaćmić, utrzymać się na pierwszym planie, jest to zaprawdę niemałém dla artysty zadaniem, i tém większa chluba dla pana Zboińskiego, że się z tego zadania pod każdym względem wywiązał. I w téj roli również najmniejsze uchybienie, najmniejszy brak koniecznéj miary, najmniejsza przesada prowadziła do karykatury, któréj p. Zboiński bardzo szczęśliwie uniknął, i stworzył postać taką, jakiéj chciał autor, jakiéj po artyście oczekiwali widzowie, znający Radziwiłła z tylu opowiadań i powieści.

Na swój benefis, w dwa dni po wystąpieniu w roli Kurcewicza p. Rychter obrał Skąpca. Tak kniaź Hrehor jak Harpagon są postaciami w których znakomity artysta występował po raz pierwszy, które musiał tworzyć... Kto ma choć przybliżone wyobrażenie jaką pracą dla artysty, zwłaszcza dla artysty który pracuje tak sumiennie jak p. Rychter, który w najdrobniejszéj swéj roli pragnie i powinien być godnym siebie, godnym długoletnią pracą zdobytéj sławy, — otóż kto wie jaką pracą jest stworzenie nowéj roli, roli tak wielkiéj i trudnéj jak Harpagon, ten się łatwo domyśli, że pełen zasług znakomity artysta chwil które gościem w murach grodu Przemysława przepędza, nie poświęca spoczynkowi, do którego długoletnia praca tak słuszne dawałaby mu prawo. Harpagon p. Rychtera był też kreacją wykończoną pod każdym względem i pod każdym względem doskonałą. Znając prawie cały repertoar p. Rychtera, przyznajemy się, żeśmy nie sądzili aby rola Harpagona leżała w jego zakresie, i z pewną obawą szliśmy na przedstawienie. Pan Rychter przekonał nas, żeśmy się mylili, że obawy nasze były płonne, Harpagon nietylko przyjęty został pełnemi zapału oklaskami publiczności, która przepełniła wszystkie miejsca w sali, a nawet w orkiestrze, ale nadto wyznać musimy iż te oklaski były słuszne, że gra była mistrzowską prawdziwie, że Harpagon był tém, czém być powinien.

Nikt się zapewne nie zadziwi, że o saméj komedji rozpisywać się tu nie będziemy. Zbyt wiele o niéj pisano, zbyt dobrze znaną jest każdemu, kto choć cokolwiek z literaturą dramatyczną się obeznał, żebyśmy coś nowego powiedzieć mogli. Winniśmy jednak oddać całą sprawiedliwość dyrekcji za staranność reżyserską, z jaką obie sztuki, a szczególniéj klasyczny Skąpiec na scenie naszéj przedstawione zostały. Było to zresztą do przewidzenia, znaną jest bowiem i uznaną pod tym względem znajomość rzeczy p. Lecha Nowakowskiego.

W rozbiór gry ogółu artystów wdawać się nie możemy, wszyscy starali się grać najlepiéj, całość przedstawień wypadła harmonijnie. **Wł. Sab.**

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Wieczory niedzielne u wojewodziny Nakwaskiéj.

Na niedzielnych wieczorach u wojewodziny Nakwaskiéj bywało niemal to samo towarzystwo, które spotykano na poniedziałkowych i piątkowych zebraniach. — Zgadzano się wszelako ogólnie, że tam było więcéj ceremoniału i chłodu, a mniéj życia — lubo, że i tańczono niekiedy.

Wojewodzina Anna Nakwaska była córką instygatora koronnego Krajewskiego*). Pisała z początku po francuzku. Lecz wystąpiła sama przeciwko téj zdrożności ówczesnego wychowania zfrancuziałego w artykule zamieszczonym w Pamiętniku warszawskim z roku 1820. A przedrukował go następnie Jan Sowiński w dziele swojém: O uczonych Polkach. — Pani Anna Nakwaska wydała w języku francuzkim: Trois nouvelles, publiées par une Polonaise — Suite des nouvelles — Marguerite de Zembocin, drukowana w Révue du nord. I przetłomaczyła na język francuzki księżnéj Wirtembergskiéj: Malwina czyli domyślność serca. — W języku polskim wydała: Aniela czyli ślubna obrączka, obrazek z roku 1831. (Z obawy wyparła się potém autorstwa téj powieści, i w Gazecie porannéj odwołaném zostało). — Odwiedziny babuni, ośm powieści 1833 roku. Wydane powtórnie r. 1844 dla dwóch jéj wnuczek. — Młodość Kopernika drukowana w noworoczniku Jutrzenka 1834 r. Przełożona na język francuzki — a z francuzkiego, przez nieświadomość, na polski znowu, i drukowana w noworoczniku Niezabudka, w Petersburgu, pod redakcją Barszczewskiego 1844. — Czarna mara, powieść historyczna, wyszła w Warszawie, z dwiema rycinami 1841 r. Aleksander Tyszyński napisał recenzją téj powieści niepochlebną. A gdy następnie wydał: Morena czyli Blade powieści, zaprosiła go dowcipna autorka na objad:

„Czarna mara prosi Blade powieści na rumianą zupę.“

Daléj napisała: Niedzielne wieczory starego stolarza. Wspomnienia z podróży po Szwajcarji i Tyrolu 1837. — Wody Karlsbadzkie — i spotkanie swoje z Goethe'm.

Najciekawsze ze wszystkich pism ś. p. wojewodziny Nakwaskiéj są jéj Pamiętniki. Jako wierny obraz społeczeństwa z czasów księstwa warszawskiego i t. d. — a nawet i jako materjał historyczny. — Mąż jéj był wtedy przewodniczącym departamentów warszawskich, a ona w pierwszéj parze z Napoleonem I na balach tańczyła.

Ustępy z tych Pamiętników czytywano w jéj salonie, mianowicie téż późniejsza pani Żebrowska, autorka powieści: Trzy przyjaciołki. — Robił z nich użytek Fryderyk Skarbek, pisząc Pamiętniki Seglasa, zwłaszcza kreśląc obraz i życie pani Vauban. — Następnie podawał z nich Józef Korzeniowski wyjątki do Gazety warszawskiéj roku 1853—54. — Nadto pozostały po niéj nader ciekawe i zajmujące korespondencje. Część tychże znajduje się w posiadaniu Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Zostawiła w bibliotece barona Rastawieckiego, a bibliotekę wraz z galerją obrazów nabył hr. Seweryn Mielżyński i Tow. Przyjaciół Nauk darował.

Wojewodzina dawała także objady w czwartki, na które zapraszała intelegencją Warszawy i które własnym dowcipem i bystrością umysłu ożywiać umiała. — Głównym zawsze u niéj gościem był wielce w literaturze naszéj zasłużony Michał Baliński, mąż pełen wyższego ugrzecznienia i zobowiązującéj uprzejmości — a mimo całéj nauki nader uważny, by nie chybić nikomu i względny dla wszystkich. Wojewodzina przezwała go trafnie Papillon boréal. — Hipolit Skimborowicz także u niéj bywał często. Nazywał ją arystokratką — a ona go l'homme terrible.

Bawiono się na tych niedzielnych wieczorach często w zapytania i odpowiedzi. A mam niektóre pod ręką:

„Czy Polki są rozumniejsze, czy tylko dowcipniejsze od mężczyzn?“

Odpowiedział Józef Korzeniowski:

„Że Polki są dowcipniejsze od Polaków, świadczą między wielu innemi faktami same ich odpowiedzi na to pytanie. Dość je porównać z naszemi. — Że są zręczniejsze dowodzi to, że nie tylko Polacy, ale i inni tak tańcują, jak im Polki grają. Że nie są rozumniejsze w ogólności, to jest: że nie tak jasno jak niektórzy u nas pojmują, kombinują i kierują wszelkiemi stosunkami życia, to nie jest winą organizacji ich głowy, ale winą ich położenia. W swojéj sferze, to jest w stosunkach domowego i towarzyskiego życia, mają więcéj rozumu od nas. Na dziesięciu mężów, ośmiu na dobre wychodzi, kiedy rady żony posłucha. Wprawdzie przygoda Adama w raju mogłaby dowodzić coś przeciwnego. Ale Ewa nie była Polką.“

„Co za różnica zachodzi pomiędzy kaprysem a zalotnictwem?“

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Kaprys jest przypadkowém amatorstwem, a zalotnictwo stałém rzemiosłem.“

„Co za różnica jest między rozumem a dowcipem?“

Józef Korzeniowski odpowiedział:

„Rozum wyszukuje różnice pomiędzy rzeczami podobnemi, ztąd pochodzi dokładne poznanie każdéj. Dowcip zaś chwyta podobieństwa między temi, które są od siebie najdalsze. Rozum rozbiera i oddziela, dowcip składa i zbliża. Można być rozumnym a nie być dowcipnym. Ale bez rozumu niema dowcipu. — Rozsądek mówi: „Trzymaj język za zębami. — Dowcip nie słucha, wymyka się, rzuca się, choćby na coś nietykalnego. Często kaleczy — i dostaje po uszach.“

Odpowiedź panny Bronisławy Karskiéj:

„Dowcip bawi i każe się lubić. Rozum kocha się i szanuje.

Odpowiedź bezimienna:

„Polki mniéj wierzą w swój rozum. Jest to stopień wyższy, zbliżony do posiadania.“

„Jaka jest różnica pomiędzy kochać się i kochać?“

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Kochać się, jest uczucie ziemskie, bardziéj materjalne, jak duchowe, niestateczne i pełne kaprysu. Jeden polski język tę różnicę odznacza. Kochajcie więc Polki ojczystą mowę, boście jéj coś winne.“

Odpowiedź pani Nakwaskiéj:

„Żona w mężu swoim nie kocha się nigdy, ale go kocha z pewném poświęceniem.“

Odpowiedź panny Bronisławy Karskiéj:

„Żona, kochanka i matka kochają. Sobek jest rodzaju męzkiego.“

„Jaka różnica zachodzi między wabnością francuzką a polską?“

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Francuzki wabią szczebiotaniem ładném, a Polki pełném wyrazu i wymowy okiem. W pierwszéj jest więcéj rzeczywistości, w drugiéj więcéj zawodu i poezji.“

Odpowiedź pani Niny Łuszczewskiéj:

„U Francuzki grunt trzewiczek,
Biegły jak pytel języczek,
W głowie czuły romansiczek.
U Polek kibić powiewna,
Minka figlarna, choć rzewna,
A że kocha — to rzecz pewna.“

„Kogo wolisz: czy tego co dobrze mówi, a źle pisze; czy tego, co dobrze pisze, a źle mówi?“

Odpowiedź Ignacego Humnickiego, autora tragiedji: „Żółkiewski pod Cecorą“ i t. d.:

„Obudwu niemożna chwalić!
Lecz już lepszy co źle pisze,
Bo go mogę w piecu spalić,
I więcéj o nim nie słyszę.

*) Hipolit Skimborowicz, redaktor Piśmiennictwa krajowego, podał w temże piśmie jéj życiorys r. 1840, który niemal cały przedrukowano bez wskazania źródła, przy książce wyszłéj w Poznaniu 1842 r. p. n.: „Obraz warszawskiego społeczeństwa.“

Lecz komu Bóg dał talent i pędzel malarza,
A kto talent poniża i ziomków spotwarza.
Kto mógł być swego wieku chlubą i zaszczytem,
I zasłynąć w narodzie piórem znamienitem....
A kto dla swych widoków czerni własne dzieje,
Przekrzywia — i ostatnią wydziera nadzieję —
Ten niech pamięta na sąd ostateczny
Na żywot wieczny,
A jak mówi Baka:
I na robaka!"

Odpowiedź ta była wystósowaną, jako przycinek, do Henryka Rzewuskiego, za Mieszaniny Bejły, przypiski do Listopada i t. d.

„Jaki wyrzut sumienia jest najdokuczliwszy, czy gdy ubliżyło się przyjaźni, czy też miłości?...

Odpowiedź Ludwika Niemojowskiego:

„Ubliżenie przyjaźni, żal ci w sercu sprawi —
Ubliżenie miłości cierpieniem zakrwawi.
Pierwszy z czasem się zatrze, a drugie zostanie,
Bo przyjaźń może wrócić — lecz nigdy kochanie!"

„Co godniejsze uwielbienia, czy cnota nigdy niezachmurzona, czy powrót do niej wielkiem poświęceniem udowodniony."

Ludwik Niemojowski odpowiedział:

„Olbrzym zwykle każdego uwagę zatrzyma,
Lecz gdyby drobny karzeł wzrosł nagle w olbrzyma,
Ludzie-by z razu oczom własnym nie wierzyli,
Potém zgięli kolana i cud ogłosili.
Tak samo rzadka cnota ogół zastanawia,
Wielkość jéj w sercach ludzi zachwycenie sprawia,
Lecz gdyby wielki grzesznik w znikczemniałym świecie,
Zrzucił brzemię występku, co mu piersi gniecie,
Otrząsł się z czarnéj myśli, co go nurza w błocie,
I siłą własnéj woli wyrósł wielki w cnocie, —
Za mało słowem tylko takiego wynosić —
A raczéj paść na klęczki — i świętym ogłosić!

„Do czego, lub kogo przyrównanoby w zeszłem stuleciu kobietę, palącą cygaro?"

Odpowiedział Ludwik Niemojowski:

„Nie wiem jakieby pradziad zrobił porównanie,
Lecz zawsze niepochlebne dałby pewno zdanie.
Nasi bowiem ojcowie płeć piękną widzieli
Stworzoną do niańczenia, albo do kądzieli.
Poświęcenie od kobiet jak należność brali,
I sami używając — im użyć nie dali. —
Dzisiaj dzielim z kobietą, złe, dobre przygody —
I szczęście, i nieszczęście — i żal — i swobody.
Czy wzbronimy im użyć niewinnéj rozkoszy,
Która myśli rozjaśnia, smutek z czoła spłoszy?...
Wielu temu przygania — mnie się jednak zdaje,
Że nam to nie zaszkodzi — im wdzięku dodaje."

„Kiedy najlepiéj czujemy, żeśmy godni powołania naszego, jako najszlachetniejsze Stwórcy stworzenia?"

Odpowiedź Ludwika Niemojowskiego:

„Kiedy dopełniam swoich obowiązków ściśle,
Kiedy mam prawość w sercu, kiedy dobrze myślę.
Kiedy wiem, że wciąż jedną postępuję drogą,
Żadne zmiany, wypadki zwieść mnie z niéj nie mogą.
Kiedy wiem, że świat prędzéj w cząstki się rozpryska,
Niżli zmienię choć w części cześć mego nazwiska;
Kiedy się duszą, sercem wiążę do dobrego,
Wtedy czuję, żem godny powołania swego."

Pamiętam, w Salzbrunnie, w towarzystwie złożonem z kilkunastu osób, znajdowali się także, Ludwik Niemojowski i Henryk Wieniawski. — Niemojowski pokazywał jakąś sztuczkę kuglarską, a Wieniawski jego zręczności przyganiał.

— Pardon! — zawołał — on peut critiquer un artiste, mais jamais un amateur.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAJBLIŻSZYM.

Wam to przystało bawić się słowy?
Przystrajać w motyle puchy?
Rwać mgły w powietrzu... rojenia głowy,
W niemowle zwijać pieluchy?!

Spuśćcie zasłonę nad mdłym obrazem —
Czyn, niech olbrzymem wylata!
Miłość ludzkości, boskim wyrazem
Natchnione serca oplata!...

Ku łunie krwawéj, orlą pogonią
Ślijcie myśl rodziméj doli...
Spiżowe serca niechaj zadzwonią
W takt, wytrwałéj ludów woli!...

W Październiku 1870 r. **Ludmiła.**

Słówko o teatrze, znaczeniu tegoż i o moralności scenicznej.

(Dokończenie.)

Zresztą od sprawiedliwszego poglądu na te kwestje w szerszych kręgach opinii, zależy i reforma wychowania kobiety i podniesienie moralnego poziomu płci męzkiéj. A literatury, a teatru przedewszystkim rzeczą jest, przysposabiać grunt do takiéj reformy. Tymczasem słyszymy głosy wołające, że to sztuki niemoralne, że naród który w nich się lubował był zgniły i zepsuty i upaść musiał. (Dawniéj jednak grywano te same sztuki a nikt przecież rezultatów wojny nieprzewidywał).

Niesprawiedliwe te hałasy szkodzą bardzo, bo najprzód w publiczności wyrabiają kłamaną pruderyę, potem, mącą pojęcie prawdziwéj moralności, nareszcie krępują młodych pisarzy.

U nas wprawdzie dwie wyżéj wskazane kwestje nie są tak palące jak we Francji, niemniéj przecież i u nas przesąd potępia kobietę a uniewinnia rzeczywiście i jedynie zwykle winnego mężczyznę, i u nas autor szukając treści do dramatu lub komedji a niechcąc się zamykać wiecznie w bajce u Numie idącéj za Pompiliusza, spotyka co chwila dramata rodzinne w których złamanie przysięgi lub kobieta niezupełnie czysta, jest osią intrygi.

Ale jakże przyjąć taką intrygę, kiedy choćby była najdramatyczniejszą, najprawdziwszą, pan A. B. lub C. powie, że autor demoralizatorem, że publiczność polska nieznosi brudów i t. d.

Ztąd to po części w oryginalnych utworach taka jednostajność treści, taka prostota intrygi że z pierwszéj sceny niemal, można, przebieg jéj i rozwiązanie przewidzieć, za czem znów idzie, że gdy tłumy tłoczą się na tłumaczenia, na oryginalnych utworach zwykle się pustki.

Otóż wypadałoby raz przecie określić jasno, co to jest moralność sceniczna, a określić łatwo, bo ona wypływa bezpośrednio z tego, co wyżéj o znaczeniu teatru powiedziano.

Teatr nie jest szkółką elementarną, ani pensją żeń-

ską. Naiwni, dla których życie tajemnic swych nieodkryło; albo nań chodzić niepowinni, ale niech nierozumieją. Scena jest życiem skoncentrowanem i to co w życiu się dzieje, a na pokazanie czego smak artystyczny pozwala, może i powinno się pokazywać na niéj. Wielkim malarzom nikt niemoralności nie zarzucał, gdy malowali postacie nagie i trzeba było aż Bourbona żeby, jak nasi krytycy, zawstydził się téj nagości i posągi kazał płachtami pookrywać. Corregia nikt demoralizatorem nie nazwał, choć malował wszystkie przemiany Jowisza.

Pod tym więc względem o moralności mowy być nie może. Można zarzucać przesadę lub jaskrawość, przeciągnięcie sytuacji drażliwéj po za granice estetyką zakreślone, zresztą nieprzyzwoitość, ale choć bohaterka jest cudzołożną żoną lub upadłą kobietą, choć tu i owdzie może być scena rumieńcem okrywająca stare kokietki, niemniéj przecież sztuka może być arcy-moralna.

Z drugiéj strony niemoralnem może być dzieło sceniczne pełne najwznioślejszych deklamacji, do którego wchodzą osoby bez grzechu i skazy.

Bo moralność w dziełach sztuki, to nie ta lub owa scena, nie słówko lub dowcip mniéj więcéj śmiały, ale jéj duch, jéj myśl, wrażenie jakie robi, uczucia jakie porusza. Jeżeli jak się to zdarza czasem, sztuka podnosi despotyzm do ideału (np. przedstawienia tak zwane Napoleońskie w Paryżu, „życie za cara“ w Rosji) jeżeli wyszydza szlachetne prądy, a nikczemne, poziome w dobrem przedstawia świetle, jeżeli widz czuje się po przedstawieniu zniechęconym, i może w duchu powiedzieć: „jednak to dobrze być łotrem“— taka sztuka jest niemoralną i demoralizującą.

Ale w naszéj literaturze sztuk takich niema prawie, a niewiele ich jest i w obcych.

Zamiast biednych autorów odstraszać morałami, zamiast klinu wbijać nieszczęsnym dyrektorom, którzy z pewnością ani marzą o tem, że są koruptorami ludzkości, należy pierwszych zachęcać, lub z innych powodów chłostać, a na drugich wołać żeby więcéj dbali o literaturę narodową.

Niech więc krytyka woła na autorów: „Dawajcie nam co chcecie, byle to było z naszego wzięte życia. Wprowadzajcie damy z kamelją i Janiny i Julje, ale niech to będą i kamelje i Janiny i Julje polskie. Pod względem formy, misterności, delikatności odcieniów, sprytu, dorównajcie Francuzom, nawet ich naśladujcie w komedji, bo ich forma jest najodpowiedniejszą dzisiejszemu smakowi, ale typów i postaci ale kwestji i idei szukajcie w własnem towarzystwie. Byle myśl była zacna i poczciwa, byle wykonanie było artystyczne i doskonałe, wolno wam brać przedmiot jaki chcecie i niepotępimy was za żadne sytuacye. Cel szlachetny i postępowy, talent w jego przeprowadzeniu i cecha pochodzenia polskiego, a zresztą wolność i swoboda.“

Dyrektorom zaś, zamiast im siedm grzechów głównych przypominać lepiéj dać burę od czasu do czasu, za ich obojętność a raczéj niechęć dla oryginalnych utworów. Skarżą się na ich brak i mają racyę, ale sami mu winni przedewszystkiem. Pisarz dramatyczny, to parja literatury. Z utworem swym musi się nosić i prosić i zamiast mieć coś za pracę, kłaniać się jeszcze głęboko, i często napróżno żeby ją grać raczono.

To też nikt na powieści nieogłasza konkursów, ale na utwory dramatyczne ogłaszać je od czasu do czasu potrzeba, bo to jeszcze jedyna zachęta.

Jaką jest zaś ta obojętność dyrektorów teatralnych świeży a charakterystyczny wskażę wam przykład. Rezultat konkursu krakowskiego ogłoszony miesiąc temu blisko a dotąd, ani p. Miłaszewski, ani p. Lech Nowakowski niezrobili najmniejszego kroku, by sobie zapewnić prawo przedstawienia sztuk nagrodzonych. Wiem o tem z dobrego źródła*).

Jakże! narzekają ciągle na brak czegoś godnego przedstawienia, i niby dla tego tylko dają nędzoty tłomaczone. Ukazują się trzy sztuki. Może złe, może dobre, ale zawsze przez kilku znających się ludzi uznane za niezłe, w każdym razie oryginalne, nowe, nieznane. Zdawałoby się że kierownicy scen narodowych, przez naród utrzymywanych, rozbijać się o to będą. Otóż widzicie że ani ich to obchodzi.

A jeżeli tak się rzecz ma z utworami nagrodzonemi na konkursie, łatwo sobie wyobrazić jak okropne są dzieje jakiegoś dzieła nieroztrąbionego, nie znanego zupełnie.

Że zaś tak rzeczy idą, to wina dzienników i recenzentów teatralnych. Jest kilka, kilkanaście nawet rzeczy drukowanych, które nie są arcydziełami, ale są stokroć więcéj warte od wielu utworów grywanych na większych teatrach. Czemu krytyka, czemu dziennikarstwo nie wskaże dzieł tych dyrektorowi, czemu go się niezapyta, dla czego tego lub owego nie gra? Tylko kontrolla taka rozumna, życzliwa, ale surowa nad dyrekcjami, a z drugiéj strony krytyka mniéj kazuistyczna, głębsza, na prawdziwych zasadach estetyki i etyki oparta, mogą teatra nasze zbliżyć do celu ich, to jest do wywierania choć w części tego wpływu, jaki wyżéj wskazałem, a który, każdy mi to przyzna, jest możliwym w teatrze dobrze prowadzonym, przy literaturze bogatéj, pojmującéj swoje zadanie, przy krytyce bystréj i bacznéj. **J. N.**

---

*) Co się tyczy p. Nowakowskiego, dowiadujemy się, że uzyskał przyzwolenie od dwóch uwieńczonych autorów, na przedstawienie sztuk konkursowych. P. R.

Przegląd literacki.

Dzieje Narodu Polskiego, w krótkości zebrane dla matek i niższych nauczycieli, przez Teodora Morawskiego. Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu 1871 r.

Tom pierwszy leżący przed nami, nosi napis „Piastowie“ — zawiera dzieje od czasów przed historycznych aż do przyjęcia chrztu przez Jagiełłę. Całe dzieło obejmować będzie tomów sześć, które mają wyjść z druku w ciągu b. r.

Mimo skromnego przeznaczenia jakie autor kładzie na tytule „dla matek i niższych nauczycieli“ — najświadomszy dziejów może się tu spotkać z nieznanemi mu faktami, wydobytemi z zapylonych kronik na światło dzienne. Nim się zabrał do swéj pracy widać że przygotował poprzednio gruntowne materyały, czerpane z dawnych źródeł i poważnych uczonych pisarzy, według nich spisał dzieje własnym systemem i poglądem. Rozpoczyna je określeniem jeograficznem krajów Sławiańskich, i nazwą rozlicznych ludów tam zamieszkujących dodając wiadomości o ich pojęciach religijnych i stanie społecznym takie jakie się przechowały w tradycjach lub dały wysnuć z hipotez. Mowa tu o czasach przed chrześciańskich, nim apostołowie którzy nauczali prawd Ewangelji spisywali zarazem i kroniki narodów. W téj epoce zaciemnionéj, nie przyjmuje p. Morawski dowodzeń Szajnochy tak wiele podobnych do prawdy, o pobycie Normandów w ziemi Lechitów,

i zaprowadzonéj tamże przez nich organizacyi politycznej, a która miała bydź tą jaką zastało w Polsce chrześciaństwo.

Zdaje się prawie niepodobnem aby ci zuchwali żeglarze skoro się puszczali ze Skandynawii do Anglii, Francyi, Neapolu i naddnieprznéj Sławiańszczyzny, nie mieli byli wypłynąć z Baltyku na Odrę, ztamtąd na Wartę, Noteć i dotrzeć do Gopła. Stanąwszy tam zapanować nad ziemiami okolicznemi, jak to gdzie indziéj robili, nad ludnością pasterską, niewojowniczą, bawiącą się gędźbą miasto oręża. Utwierdza to przypuszczenie, iż za czasów historycznych, tu za Chrobrego mieli zbrojne osady przy ujściu Odry, a Czacki przytacza słowa podróżujących kronikarzy z XI i XII wieku, którzy napotykali normandzkie osady w okolicach Poznania i Międzyrzecza.

Jak wiadomo gromadki tych śmiałych awanturników, niosły sobą ducha organicznego, to im właśnie ułatwiało opanowanie ludności żyjących w rozsypce, bez spójni politycznéj. Według Szajnochy, Normandowie nadali plemieniom ludzkim spojnią państwową, podłożyli podwalinę do rządów Polski Piastowéj, tak różnych od innych krajów.

Pozwoliliśmy sobie tego przydłuższego zboczenia, mając na myśli recenzyę nad pracą p. Morawskiego zamieszczoną w 52 Numerze Dziennika Poznańskiego, w któréj piszący z lekceważeniem potrąca o powyższe twierdzenie Szajnochy uważając je zarazem jako szkodliwe, ponieważ rozrywa spólnictwo pierwotnéj Polski z resztą Słowiańszczyzny. Zarzut ten zdaje nam się mylnym, garstka Normandów tonęła z czasem w miejscowym żywiole, jak to mamy przykład w własnéj historyi, Waregów na Rusi. Wracamy do założenia naszego.

Autor „Dziejów Narodu Polskiego" nie zgadza się na zapanowanie Normandów nad Lechitami, lecz idzie śladem większéj części znanych historyków, przyjmując że chrześciaństwo zastało w Polsce urządzenie rozwinięte li na pierwiastku Słowiańskim, nie zmięszanym z żadnym obcym napływem. Nie stara się też wycisnąć prawd dziejowych z podań bajecznych jak to czynią Bielowski i Szajnocha, uważając je jedynie jako utwory fantazyi, któremi poprzedza historyą, czyniąc zadość przyjętemi zwyczajowi.

P. Morawski nie dzieli historyi na epoki, rozrostu lub upadku narodu, lecz podciaga ją pod panowanie królów, około których obracają się wszystkie wydarzenia jako głównéj osi. Są okresy w których ten podział bywa utrudnionym, w czasach podziału rządów Polski, po Krzywoustym aż do Łokietka, a zatem blisko dwa wieki — panujący roją się tu jak mrowisko. Podporządkowanie pod nich wszystkich wydarzeń, sprowadza musi potok imion własnych, przepełniających pamięć czytelnika i nurzących jego uwagę na szkodę pojęcia. Lecz przepłynąwszy raz tę Scyllę i Charybdę, ma odtąd czytelnik wydatnie narysowane postacie pierwszego planu, około których mając szerszą przestrzeń, wyraźniéj grupują już wypadki tworzące dzieje.

Z ich tła jasno występują postacie Łokietka i Kazimierza Wielkiego, a im bliżéj nowszych czasów tym bogatszy znajduje koloryt dziejopisarz.

Praca p. Morawskiego obfituje w wielki plon faktów, które zbierał — jak to widać z przepisków — z mnóstwa dzieł i dokumentów, pod tym względem wyrównywa najobszerniejszym pracom znanych historyków i staje się cennem podręcznem dziełem. Wojny i zatargi wewnętrzne znajdzie tu czytelnik zebrane z historją chronologiczną, niemniéj nazwiska tych wszystkich co zajaśnieli czy to w wojnie, radzie, kościele, lub dziedzinie nauk. Również skreśla przy końcu każdego oksesu obraz życia wewnętrznego narodu. Widzimy jak z latorośli zaszczepionego chrześciaństwa wyrosła powaga kościoła nad władzą świecką, a pod jego skrzydły tworzy się potężny w kraju stan duchowny, kiedy z drugiéj strony rycerstwo zagarnia dla siebie przywileje na szkodę kmieci. Mamy daléj przedstawione rozwijanie się oświaty, przemysłu, handlu, a z nich wykwitające uobyczajenie, kulturę krajową i zamożność. Zgoła obraz cywilizacyi jaka w Polsce rozwijała się zgodnie z ogólnym postępem u narodów zachodniéj Europy.

Zdaje się, że autor Dziejów Narodu Polskiego nie tyle wagi przywiązywał do strony krytycznéj, ile do zebrania co najwięcéj faktów i zestawienia z nich historyi. Nam się zdaje że dzieje niedosyć rozświetlone krytyką tracą na wyrazistości, mianowicie dla mniéj z niemi obeznanych, dla których autor w szczególności pracę swą przeznacza.

Język p. Morawskiego odznacza się czystością i jędrnością, a obok tego i potoczysty, przymioty na których często zbywa młodszym pisarzom. Z tego cośmy w krótkości o pracy p. Morawskiego powiedzieli, osądzić może czytelnik że literaturze naszéj przybyło cenne dzieło, w jakie powinna by się zaopatrzyć każda domowa biblioteczka. †

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dokończenie).

Szczyt Świnnicy 7,395 stóp wied. wyniosły, na który jak wspomniałem, dopiero Dr. Eug. Janota z Maciejem Sieczką drogę wynaleźli, przenosi niższy czub zachodni o 64 stóp; powierzchnia jego około 10 stóp długa, a 6 szeroka, ze złomów granitu złożona mało zdoła osób pomieścić, tém bardziéj, gdy skrajne głazy wisząc nad strasznemi przepaściami od wszystkich stron tłoczą ludzi na środek, z tego powodu bardzo skąpo jest na szczycie miejsca. Na niższym szczycie Świnnicy (7,331') sterczy żerdka zatknięta przez oficerów kwatermistrzowstwa, gdy tu pomiary robili.

Właśnie tam Dr. Eug. Janota nie mając nadziei dostania się na szczyt wyższy zajmował się pomiarem barometrycznym, gdy przewodnik Sieczka poprobował szczęścia dla dostania się na wyższy szczyt. Puścił się jak koza granicą turni, przeskakując rozpadliny ponad przepaściami z narażeniem życia, że Dr. Janota odwrócił oczy, nie mogąc patrzeć na takie lekceważenie życia człowieka mającego żonę i dzieci, a upominań zdawał się nie słyszeć, poczém zniknął mu z oczu. Pół godziny Sieczki nie było, aż się Dr. Janocie ukazał z dołu dążąc na szczyt niższy, którędy na niego przyszli. „Jest już droga na Świnnicę!" z radością wykrzyknął Sieczka i z Dr. Janotą puścili się na sprawdzenie. Pokazało się, że schodząc z wierzchołka odkrył wspomnianą już przezemnie szczelinę w krawędzi żlebu, daléj sposób przebycia żlebu, którędy lepsze przejście odszukał Dr. Janota i tym sposobem stoi dziś otworem dla podróżnych najwyższy szczyt Świnnicy. Przyznał się Sieczka, że drugi raz nie odważyłby się przebywać granicy łączącéj szczyt wyższy z niższym.

Odtąd dopiero Świnnica warta podjęcia trudów, gdy na szczyt wyższy wejść można, poprzednio bowiem szkoda było fatygi, skoro wierzchołek wyższy zasłaniał

najgłówniejszą stronę widoku do wnętrza Tatr i w dolinę Pięciu Stawów.

Gdym o tém nadmienił w wydanym r. 1870 „Illustrowanym Przewodniku do Tatr, Pienin i Szczawnic", ksiądz proboszcz w Zakopaném zarzucił mi mylność mojego opisu opartego na opowiadaniu Dr. Eug. Janoty, o wynalezieniu drogi na najwyższy szczyt Świnnicy dopiero w r. 1867, gdy on (proboszcz) jeszcze przed 18 laty miał tam być z przewodnikiem Maciejem Rojem, którego mi na świadectwo przywodził i jego się rzeczy właściwéj dopytać radził. Udając się na Krzyżne roku 1870, za przewodnika wziąłem sobie owego właśnie Macieja Roja, starego skryto-strzelca, słynnego w tém rzemiośle. Nie mówiąc mu nic o kwestji spornéj, zagadnąłem go, czy był na Świnnicy. Stary gaduła wtedy z szczególną pamięcią określił mi całą swoję wycieczkę na Świnnicę z księdzem proboszczem zakopiańskim, jak szli, co widzieli, jak na szczycie zatkniętą żerdkę zastali, na któréj ksiądz proboszcz na pamiątkę swego tam pobytu litery swoje wyrżnął i t. d. A gdym go zaczepił o ów najwyższy czub Świnnicy, rozwiązał na moję korzyść zagadkę, mówiąc, że tam już nie byli, bo, jak się wyraził, „i koza dzika tamby się nie dostała." A że żerdka na zwiedzanym dawniéj niższym szczycie tkwi do dziś dnia, rzecz się dostatecznie wyjaśniła i mój opis nie podpada wątpliwości

Pod głazem na Świnnicy składają podróżni kartki z zapisaniem imion swoich, czasu tam przebytego i okoliczności dotyczących; w r. 1868 nasza tam zamieszczona kartka jest dopiero trzecią z kolei. Tworzy się tym sposobem kronika tego szczytu i warto, aby zawiniątko papierowe zamienić na słój szklany, któryby lepiéj chronił owe zapiski od wpływu niszczących żywiołów, bo przed ludźmi nic ich nie uchroni, jak się pokazało na Łomnicy. Od wielu lat składane na jéj szczycie kartki i starannie przechowywane zniknęły roku 1870, ale że w Szmeksie istnieje album, gdzie się wpisują podróżni, co zwiedzili Łomnicę, więc zniknięcie aktów ze szczytu nie pociągnęło za sobą zatraty wszelkich tego rodzaju wiadomości. Jak mi opowiadano, posądzenie pada na jakichś Prusaków, z którymi ostatni raz na Łomnicy oglądał przewodnik zapiski, a zapisków już nie zastał, gdy się na Łomnicę wybrał z następnymi gośćmi.

Trzecia godzina się zbliżała, trzeba się było oderwać od prawdziwie cudownego widoku i niemiło się zrobiło spojrzawszy w szczelinę, którędy się z wierzchołka mieliśmy spuszczać. Zawadzał w drodze sterczący ostro głaz wśród owéj szczeliny. Sieczka postanowił go zepchnąć, ale wszystkich sił musiał użyć, aby celu dopiąć. Rozparł się całém ciałem i odwalił złom granitu, który potoczył się w przepaść; zginął nam z oczu, dolatywał tylko łoskot kruszącego się po drodze w kawałki nim ugrzązł w dolinie Pięciu Stawów.

Gdzie źle i niebezpiecznie schodzić grzbietem na czworakach zsuwając się na dół, można zewsząd bez szwanku dobrze zejść, najgorsze są w takich miejscach wielkie głazy, gdy je trzeba mijać lub spodem obchodzić. W jedném miejscu położył się Sieczka z rękami wyciągniętemi, aby w razie wypadku potknięcia się, można się było na nim zatrzymać. Im niżéj, tém nam weseléj było, bo bliżéj lepszéj drogi; powoli przebyło się ową szczelinę pod żlebem, sam żleb, a potém zwaliska głazów. Przybywszy na przyłączkę między Świnnicą a pośrednią Turnią, mogliśmy z największym spokojem o dalszą drogę, zasiąść do obiadu na wysokości 6,589 stóp przy ślicznéj pogodzie. Wspaniała zaiste uczta, chociaż z najprostszych potraw złożona, a tryumfalna dla płci żeńskiéj, którą niesłusznie odstraszają mężczyzni od śmiałych wycieczek, aby swoję tchórzliwość zataić. Raz bowiem puścił się do Morskiego Oka pewien guwerner, zostawiwszy swego elewa na wsi, gdy minąwszy Zmarzłe miał Zawrat przebywać, drżąc uwiązał się na pasku do swego przewodnika i modlił się gorąco, aby się cało z pustyni głazów wydostać, a jednak tędy co rok wiele kobiet przechodzi bez żadnych obaw. Właśnie opowiadania podróżnych trwożliwych, albo umyślne blagerje drugich, odstraszają niejednego, a mianowicie płeć piękną od poznawania cudów natury bez narażenia zdrowia i życia; zresztą kto się dobremu przewodnikowi powierzy, ten go bezpiecznie sprowadzi i wwiedzie, choćby na najgorsze miejsce.

Zupełnie tą samą drogą zdążaliśmy do Zakopanego, którą rano szliśmy na Świnnicę z tą różnicą, że prędzéj, bo ciągle z góry na dół własnym parci ciężarem musieliśmy powstrzymywać rozpęd, przyczém nogi mocno bolały w kolanach. Zdawa się, że przez ciągłe zrywanie ścięgna popękają. Widoki te same wydawały nam się wcale odmiennemi z powodu przeciwnego oświecenia. Słońce chyliło się ku zachodowi i nim minęliśmy dolinę Stawów Gąsienicowych, następnie halę Królową, zmierzchło się. Boczań czy w górę czy na dół z powrotem, zawsze dokuczliwy; łatwo w jego skrętach, dziurach, pośród drzew korzeni nogi powykręcać. Dopiero stanąwszy w Kuźnicach odetchnęliśmy z całą swobodą, bo do samego domu czekała nas równa droga. O wpół do 10téj godziny syci zadowoleniem z szczęśliwie odbytéj wycieczki, a chciwi spoczynku, zawitaliśmy do chaty. Błogo było wówczas usieść, popijać cherbatę i pod wrażeniem doznanych uroków gwarzyć wśród swego domowego kółka Sen klejąc powieki, zakończył nam dzień pełen miłych wspomnień z dopięcia wymarzonéj wyprawy, na popasie przed karczmą w Białym Dunajcu. —

Skrzynka do listów.

Panu Bronisławowi Roli w Samborze: Niektóre z bajek waszych odznaczających się Lafontenowskim dowcipem i werwą wkrótce pomieścimy. Dla uwydatnienia jednakże powyższych przymiotów zbyteczną rozwlekłość niektórych, okroić byliśmy zmuszeni. O współpracownictwo prosimy.

Panu S. M. W. w O...:

Zwycięż formę studjow siłą,
I czy miło, czy nie miło,
Jak mówi Horacy:
Saepe stylum vertas bracie,
A o sławie i zapłacie,
Wspomni Bóg po... pracy!

Panu Izaakowi Weinbergowi w Hamburgu: Zamieszczamy tylko ogłoszenia literackie i artystyczne.

Dr. Z. w Pierzchnie: Wysłaliśmy rzeczony numer, jakkolwiek poczta obowiązaną jest dostarczać wszystkie numera regularnie.

Panu W. St. w Pelplinie: Recenzja o pracy Pańskiéj nazbyt byłaby opóźnioną.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.